

BOLESŁAW PRUS

(ALEKSANDER GŁOWACKI)

EMANCYPANTKI

POWIEŚĆ



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

1894

Дозволено Цензурою.

Варшава, 24 Февраля 1893 года.

Warszawa. — W drukarni St. Niemiery, Plac Warecki 4.

I.

Przebudzenie.

Zdawało jej się, że tonie w niezmiernem ognisku: jej ręce i nogi już spopielwały — oddycha płomieniami — zamiast głowy ma żelazną kulę rozpaloną do czerwoności, a zamiast języka — żarzący węgiel.

Już nie chciała żyć, tylko — nie cierpieć dłużej. Więc gdy spadł na nią sen ciężki jak rzeka roztopionego ołowiu, jęknęła pod brzemieniem, ale nie z obawy. Owszem, radowała się, że ognie, które męczyły jej wzrok, stopniowo bledną, potem czerwienieją jak zachód słońca, a ona sama leci w bezdenną otchłań, gdzie robi się coraz ciemniej, coraz czarniej, ale i coraz chłodniej.

Koniec?... Jeszcze nie. Bo otóż ogarnął ją przykry zapach octu. Widać, że zamiast do otchłani, spadła w komin wysoki od nieba do ziemi, gdzie na dnie znajduje się rozpalona angielska kuchnia, na którą lano ocet.

„Ach, jakto... ach, jakto... ach jakie to ostre!...” myślała.

Octu musiało być bardzo dużo, ponieważ otoczyły ją ze wszystkich stron, gęste, białe obłoki; ocean obłoków, w których pływała gdzieś wysoko nad miastem. Oczywiście nad miastem, gdyż słychać dzwony: w uszach, w głowie, w szyi, w piersi, w rękach i w nogach. Dziwne dzwonienie!... „To po mnie dzwonią — myślała. — Ja jestem pani Latter i utopiłam się... Więc pytają mnie żalobnem dzwonieniem: po coś ty to zrobiła?... Przecie zosta-wiłaś dzieci, pensję?...”

Biały tuman obłoków rozsunał się i ujrzała w nich jakąś twarz. Była to dobra, spokojna twarz człowieka z siwymi włosami i krótko ostrzyżonymi faworytami.

„Kto jest ten staruszek?...”

I przyszło jej na myśl, że obok niej, w kłębach ostrej pary, leży jakaś druga osoba, a że ten staruszek jest doktorem i ojcem tamtej drugiej.

Dzwony wciąż były: w głowie, szyi, w rękach, jedne basowemi, inne wiolinowemi tonami, i rozmawiały między sobą:

- Feliksie, proszę cię, wezwij Brzozowskiego!...
- Nigdy. Nie pozwolę truć mego dziecka.
- Widzisz przecie, że to jest...
- Lekki... bardzo lekki...
- Więc ja pošlę po księdza...
- Żadnych księży, żadnych konowałów...
- O, cóż ja pocznę nieszczęśliwa!... — łkał wiolin.
- Uspokój się i ją zostaw w spokoju... Przecież to i moje dziecko... Spokoju tylko, spokoju...